

CENA 5 ZŁOTYCH

GOSĆ NIEDZIELNY

TYGODNIK KATOLICKI

NR 14

WIELKANOC 1947

ROK XX



*Zmactwychwstał Pan prawdziwie, Alleluja! - Pójdźcie, pokłońmy się
(Z biewiarza czymskiego)*

W on czas: Maria Magdalena i Maria, matka Jakuba, i Salome zakupiły wonności, by pójść i namaścić Jezusa. Wczesnym tedy rankiem, w niedzielę, przychodzą do grobu już po wschodzie słońca. Mówili zaś między sobą: Kto nam odwali kamień od otworu grobowego? I podniósłszy oczy, spostrzegły, że kamień był odwalony, — a był on bardzo wielki. Weszły tedy do grobu

i po prawej stronie ujrzały młodzieńca siedzącego, odzianego w białą szatę, i zdumiały się. On zaś rzekł do nich: Nie trwóćcie się! Szukacie Jezusa Nazareńskiego, ukrzyżowanego? Powstał z martwych: nie masz Go tu! Oto miejsce, gdzie Go złożyli! Atoli idźcie, powiedźcie uczniom Jego i Piotrowi: „Idzie przed wami do Galilei; tam Go ujrzycie. Jak wam zapowiedział”. Mk., XVI, 1—8

A On rzekł do nich:

„O głupi, a leniwego serca do wierzenia temu wszystkiemu co powleczeleli prorocy!

Czyż nie było potrzeba, aby to cierpieć Chrystus i tak wchodzić do chwały swojej?”

A począwszy od Mojżesza i wszystkich proroków, wykladał im co we wszystkich pismach o Nim było.

I mówili między sobą:

„Czyż serce nasze nie paliło w nas, gdy mówił w drodze i Pisma otwierali?”

Lukasz XXIV

Alleluja

Pękły granity grobowych ścian —
Od słońca jaśniejszy zmartwychwstał Pan!
Skruszona pieczęć — otwarty grób,
Straż powalona u jego stop
Zadrżało piekło! — Gdzież jego moc?
Grzech zwyciężony i śmierci noc —
Bóg zmartwychwstając zwyciężył kłam —
Już wolny przystęp do raju bram.

A. W. G.



J. Kacianka

Prawdziwej wielkanocnej radości płynącej z głębokiej wiary, że „Zwycięzca śmierci, piekła i szatana” mocen jest pokonać wszelkie zło, pocieszyć nas i pokrzepić w cierpieniu i zwątpieniu, pomóc nam w przewyciężeniu wszelkich przeciwności

życzy Redakcja

„Gościa Niedzielnego”

NIEDZIELA ZMARTWYCHWSTANIA

Powstałem i jeszcze przy Tobie, Alleluja: położyłeś na mnie rękę Swoją, alleluja: przedziwna jest wiedza Twoja, alleluja, alleluja, alleluja.

Panie, przenikasz mię i znasz mię. Ty wiesz, gdy śladam i gdy wstaje.

(Introit)

Boże, któryś w dniu dzisiejszym przez Zmartwychwstanie Jednorodzonego na Twego wieczności bramy otworzył, i cz prośby nasze, które łaską Swoją uleczasz, wysłuchać łaskawie i spełnić.

(Modlitwa)

Bracia! Uprzątnijcie stary kwas, abyście byli nowym zaczynem, tak jak przaisni jesteście. Bo nasz Baranek wielkanocny ofiarowany jest, Chrystus. Świętujmy przeto nie w starym kwasie, ani w kwasie złości i przewrotności, ale w przaisnikach szczerości i prawdy.

(Lektoria)

Ten jest dzień, który uczynił Pan: radujmy się i weselmy się weń.

Wysławiajcie Pana, bo dobry jest: bo na wieki miłosierdzie Jego. Alleluja, alleluja.

Nasz Baranek wielkanocny ofiarowany jest, Chrystus.

(z Gradualu)

Przyjmij, prosimy Cię, Panie, modły ludu Twego wraz ze złożoną Ci ofiarą, i spraw, aby tajemnicami wielkanocnymi uświęcona, stała się nam z pomocą Twoją zadatką szczęśliwej wieczności.

(Sekreta)

Wlej, Panie, w serca nasze Ducha Swej miłości, abyśmy Sakramentami wielkanocnymi zasileni, przez miłosierdzie Twoje w jedności i zgodzie zawsze trwali.

(Modlitwa po Komunii)

SEKWENCJA

ze mszy wielkanocnej

Paschalnej, drogiej ofierze
Hold nieście, wierni z ziem wszech,
Za owce Jagnię śmierć bierze:
Wznawiając z Ojcem przymierze,
Niewinni — zmazał nasz grzech.

Śmierć z życiem poszła w zawody,
Przedziwny pełniąc łask cud:
Wódz życia zbawił narody,
Po zgonie, w pełni swobody,
Królujcie światu, jak wprzód.

Opowiedz, Maryjo: na drodze
Co widzieć Jezus ci dał?
Grób pusty Chrystusa znachodząc
I chwałę Wodza nad wodze,
Żywego, co z grobu wstał.

Anioły z niebios wierzei
Widziałam — chusty, szat zwój:
Wstał Chrystus, zdrój mej nadziei,
Uprowadził was w Galilei,
Wstał iście z martwych Pan mój.

Zwycięzco piekła i zgonu,
Najwyższy Królu wszech złem:
Przyjm od nas hołdy pokłonu,
Zebranych u Twego tronu
Włosnym uchem słysz Twem!

Amen. Alleluja.

Pojedynek ze śmiercią

Śmierć z życiem w przedziwnym
potykały się po edynku.

(z sekwencji wielkanocnej)

Wielki Czwartek, Wielki Piątek i Wielka Sobota nazywają się w liturgii Kościoła „triduum sacrum” — co po polsku można by wyrazić słowem: „trójdzień święty”.

Wielki Piątek, Wielką Sobotę i Wielkanoc można by zaś określić nazwą: „triduum symbolicum” — „trójdzień symboliczny”. Żadne inne bowiem dni w ciągu roku kościelnego nie dostarczają nam tyle analogii, tyle porównań, nie wyrażają tyle podobieństwa z życiem i przeznaczeniem naszym, co właśnie te trzy dni.

Któryż tedy z tych trzech wielkich dni byłby najwłaściwszym obrazem naszego życia?

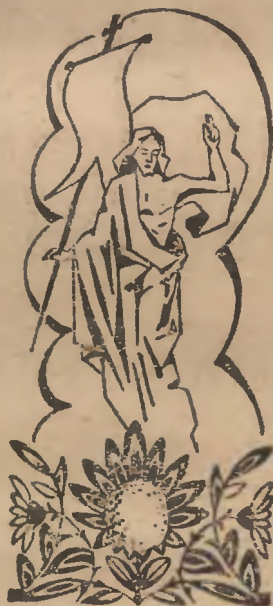
Jedni powiadają, że życie nasze jest ustawicznym Wielkim Piątkiem, cały nasz dzień wypełniony jest cierpieniami, smutkiem, ciągle żyjemy pod znakiem bóleści i śmierci. Kaznodzieje znowu nauczają, że mamy przechodzić przez życie w nastroju i w duchu wielkanocnym: stale ma nas przenikać nadzieja i pewność zmartwychwstania. Dla kogo życie nasze jest jedynie Wielkim Piątkiem, kto nie dostrzega w życiu niczego innego poza krzyżem i cierpieniem, ten nie pojął jeszcze Chrystusowej Dobrej Nowiny. Kto by zaś tylko podkreślał radosny nastrój wielkanocny w życiu człowieka, mógłby narażać się na zarzut, że nie widzi rzeczywistości, nie dostrzega łez i cierpień, nędzy i walk, nie słyszy dokoła siebie płaczu, jęków bóleści, okrzyków rozpacz.

Wydaje się, że życie człowieka najbardziej jest podobne do Wielkiej Soboty. Przynajmniej tak być powinno.

Któż nie zna swego nastroju Wielkiej Soboty? — W kościele adoruje się jeszcze przy Bożym Grobie, leży jeszcze na środku kościoła odsłonięty w Wielki Piątek krucyfik, ludzie cisną się do ucałowania ran Zbawiciela, w całym domu Bożym panuje jeszcze nastrój wielkopostny. Ale już też widać pierwsze zapowiedzi nadchodzącej wielkiej, radosnej chwili, już służba kościelna wspina się po drabinach i zdejmuje ciemne zasłony z ołtarzy. Spiewamy jeszcze pieśń o męce Pańskiej, ale rano już kapłan intonował trzykrotnie „Alleluja”. Pamiętamy o tym, że jeszcze jest Wielki Post, że Chrystus jeszcze w grobie spoczywa, ale w powietrzu już unosi się zapach Wielkanocy, już wszystko przygotowane do święta. Uświadamiamy sobie, że kończy się okres Męki, a nastanie niebawem „wesoły dzień”. Ustawicznie wraca do nas myśl przejmująca radosnym dreszczem: Jutro rezurekcja! Jutro Wielkanoc!

Wielka Sobota jest czymś pośrednim pomiędzy Wielkim Piątkiem, a Wielkanocą. Nastrój Wielkiej Soboty jest mieszany — Alleluja przy Bożym grobie — przeważa już jednak nuta radosna, a raczej: nuta radosnego oczeki-

wania. — I takim właśnie powinno być nasze życie. Trzy dni od Wielkiego Piątku do Wielkanocy stanowią razem obraz naszego życia i celu, ale następnie nasze powinno być wielkosobotnie. Trudno nie widzieć cierpień i utrapień tego życia, zdajemy sobie sprawę, że jeszcze nie przeminął dla nas wielki post bóleści, doświadczeń i wszelakich przeciwności, jeszcze śpiewamy smętną pieśń wygnańców tej ziemi, ale równocześnie pokrzepieni chrystusowymi obietnicami intonujemy już nadziei pełne Alleluja, mimo wszystkich ciężarów życia przeważa u wierzącego chrześcijanina nastrój nadziei, nuta radosnego oczekiwania życia pełnego, prawdziwe-



go, życia bez cierpień, grozy, obaw, niepewności i smutku. Na myśl o tym wspaniałym życiu wiecznym błędną największe chociażby przeciwności ziemskie: „Utrapienia czasu niniejszego nie są godne przyszłej chwały, która się w nas objawi” (św. Paweł).

Niegdyś — przed z górą 1900 laty — w owym trójdniu od Wielkiego Piątku do Wielkanocy odbywał się największy w dziejach świata pojedynek — pojedynek Życia z śmiercią. W Wielki Piątek Życie pozornie poniosło klęskę, w oczach świata Cudotwórca z Nazaretu uległ przemocy wszechwładnej śmierci. Ale pojedynek nie skończył się na górze Golgoty. Od Wielkiego Piątku do wielkanocnego poranku „mors et vita duello conflixere mirando” — „Śmierć i życie w przedziwnym zmaganiu się pojedyńku”, w którym ostatecznie pokonaną została śmierć. Chrystus stał się śmiercią śmierci. „Chrystus umierając zniszczył śmierć naszą” (prefacja wielkanocna). Śmierć została rozbита. Nie została wprowadzić całkowicie „zlikwidowaną”, usunięta ze świata, nadal puka ona do drzwi każdego człowieka, na każdego kładzie swoją rękę, ale przestała być postrachem ludzkości, niszczycielką życia, a stała się sługą ludzi, przewodniczką do krainy życia.

„Mors porta vitae” — „Śmierć bramą życia”.

Chrystus zwyciężył śmierć dla nas, nie dla Siebie. Apostoł narodów i Ojciec Kościoła tylekroć podkreślają, że Chrystus na to zmartwychwstał, by nam zapewnić zmartwychwstanie do życia wiecznego.

Nasz pobyt na ziemi wypełniony jest nieustanną walką o życie. Nasze życie jest statym pojedyńkiem ze śmiercią. Po wielu mniejszych Wielkich Piątkach różnych cierpień przyjdzie i dla nas największy Wielki Piątek, w którym śmierć pozornie odniesie nad nami zwycięstwo, ale ponieważ nie jest już ona panią wszechwładną, będzie musiała nas zwolnić i nadejdzie dla nas „wesoły dzień” zmartwychwstania. Dzień śmierci stanie się dla nas dniem narodzin — narodzin do życia właściwego. Kościół wypowiada tę prawdę i przez to, że obchodzi uroczystość dnia śmierci świętych i nazywa go „natalicia” — narodzinami.

Chrystus pokonał śmierć, ale wziął też na Siebie wszelkie trudy pojedyńku z śmiercią: cierpienia i mękę. I my odniesiemy zwycięstwo w tym wielkim pojedyńku ze śmiercią, jeżeli przyjmujemy na siebie wszystkie „utrapienia czasu niniejszego” — cierpienia walki, obowiązki i ostatni trud — umierania.

Corocznie obchodzone Święto Zmartwychwstania ma nas wyrwać z usposobienia wielkopiątkowego, które wobec licznych doświadczeń i cierpień nieraz przeważa w życiu naszym i wciąż na nowo wskrzeszać w nas ów radosny nastrój oczekiwania. Cierpienie i śmierć nie są celem końcowym człowieka, wiodą jedynie do celu. Święto Wielkanocy ma nam uprzytomnić, że chrześcijaństwo jest religią życia, że ostatnie słowo wedle chrystusowej dobrej nowiny mieć będzie nie cierpienie i smutek, nie bóleści i śmierć, ale życie i radość. Nawet modlitwy liturgiczne za zmarłych więcej mówią o życiu niż o śmierci. Taka prefacja ze mszy żałobnej równie dobrze mogłaby być wielkanocną. „W Chrystusie zabłysła nam nadzieja szczęśliwego zmartwychwstania, ażeby tych, których zasmuca pewność śmierci, pocieszała obietnica przyszłej nieśmiertelności. Twoim wiernym bowiem, Panie, życie nie kończy się, tylko się zmienia, a gdy rozpadnie się dom tego ziemskiego zamieszkania, wieczne w niebie gotuje się mieszkanie”.

Jeśli w ten sposób pojmować będziemy tajemnicę Wielkiej Nocy, będzie ona stanowić dla nas najrzeczywistsze, najprawdziwsze i najwartościowsze źródło radości.

W tym świetle jasnym się staje, że to nie patos, nie zwrot retoryczny, ale szczerza i uzasadniona radość, gdy Kościół woła w dniu dzisiejszym:

„Oto dzień, który uczynił Pan! Radujmy się i weselmy się w nim!”

A oto tu ktoś większy niż Jonasz

(Mat. 12, 41)

W jeanyim z grobów egipskich znaleziono list, napisany przez pewnego urzędnika żyjącego około r. 1300 przed Chrystusem do ducha zmarłej jego żony. W liście tym prosi on, żeby jej duch przestał go już niepokoić; przecież jej za życia nie złego nie uczynił ani jej nie zaniedbywał.

List ten dowodzi, że starożytni Egipcjanie wierzyli w życie pozagrobowe. Już pisarzom greckim i rzymskim podpadało, jakie przywiązanie okazywali Egipcjanie swym zmarłym i jaką starannością otaczali ich groby. Wiele ciekawych szczegółów dotyczących wierzeń o życiu pozagrobowym dostarczyły grobowce wykute w skalach w Górnym Egipcie, w tzw. dolinie królów pod Tebami, dalej owe sławne piramidy wznoszące się po lewym brzegu rzeki Nil, z których jeszcze kilkadziesiąt zachowało się do dnia dzisiejszego.

Ludzie zamożni przedstawiali sobie życie po śmierci jako dalszy ciąg życia ziemskiego. W modlitwach Egipcjan ujawnia się stałe jedno życzenie, żeby zmarły w zaświatach mógł obrabiać dalej swe pola, posiadał stała bydła, niewolników i niewolnice itd. Istniała jednak obawa, że zmarły w drodze do zaświatów mógłby napotkać na wielkie trudności i niebezpieczeństwa; aby zabezpieczyć go przed różnymi niespodziankami niemiłymi, owijano jego mumie, czyli zwłoki zabalsamowane, w zwoje papirusowe pokryte różnymi formułkami mającymi moc magiczną. Ogólnie jednak myśl o życiu pozagrobowym wywoływała u Egipcjan ujemne wrażenie. W zmartwychwstanie w starożytnym Egipcie nie wierzono; zmarły mógł tylko — wedle pojęć Egipcjan — pojawiać się jako duch i być postrachem dla żyjących.

Jeszcze smutniej przedstawiało się życie pozagrobowe dla mieszkańców starożytnej Babilonii. Śmierć napętała ich zgrozą. Długi czas, opowiada autor wielkiego babilońskiego dzieła literackiego, przypatrywał się Gilgamesz zmarłemu swemu przyjacielowi. Widząc, że się nie rusza, serce nie bije, zaryknął od bólu nad jego utratą. Ogarnął go smutek wielki, a z obawy, że i na niego przyjdzie śmierć, wybrał się w drogę do przodka swego, aby zasięgnąć rady, jakby zapewnić sobie życie.

Po długich uciążliwych marszach, po przejechaniu przez „wody śmierci“ dotarł nareszcie do swego znajomego. Za jego radą spuścił się Gilgamesz do głębin wód, aby odnaleźć tu ziele, którego spożycie zapewni mu miało życie i odmłodzenie. Uszczęśliwiony, że posiada tak cenny skarb, wraca do swego kraju. Po drodze zatrzymał się przy studni, aby się pokrzepić i umyć. A to stało się dla niego nieszczeniściem. Gad, który powąchał ziele złożone przez Gilgamesza przy studni, poślknął je. Gilgamesz popadł w rozpacz.

W ostatniej pieśni tego eposu widzimy go u wejścia do podziemi, rozmawiającego z duchem swego zmarłego przyjaciela. Autor pieśni daje nam też opis krainy zmarłych, „krainy bez powrotu“, w której brak światła, gdzie pył jest pokarmem zmarłych, glina ich jadłem. Siedzą te duchy w ciemności, ubrane w skrzydła jak ptaki. Kraina ta jest również siedzibą demonów, które strasza żyjących na ziemi i nawiedzają ich chorobami. Jedynie ci, co polegli na polu chwały, piją tam czystą wodę. Zaspokojenie pragnienia czystą wodą uchodziło więc za najwyższe dobro dla zmarłego. Tym się tłumaczy też troska Babilończyka, żeby mieć kogoś, który by po śmierci nad grobem jego ofiarował mu wodę. Nigdzie jednak i w Babilonii nie ma mowy o zmartwychwstaniu człowieka.

Po przesłuchaniu przedstawicieli pogaństwa przenieśmy się teraz w duchu na teren

Ziemi św. Zapytajmy się autorów biblijnych Pism Starego Testamentu, jakie też oni mieli wyobrażenie o życiu pozagrobowym. I tutaj nikt nie tęsknił za zejściem do Szeolu, jak wówczas nazywano krainę zmarłych, krainę, z której nikt nie wraca (księga Joba 7, 9—10), gdzie nikt Boga nie chwali (Psalm 6, 6).

Powoli jednak wyrasta tu wiara w życie pozagrobowe, która różni się wielce od wierzeń pogańskich. Chociaż Bóg nie objawił, jakie będzie to życie po śmierci, autorowi Psalmu 49 jak i Ps. 73 wystarczy wiedzieć, że Bóg będzie jego udziałem, cho-



Aniela Wolna-Górska

ZMARTWYCHWSTANIE

Jerozolimę bielą się mury,
Jezioro jeszcze uspione śni —
Widok Golgoty, zwykle ponury,
Dziś otuliły niebios lazury,
A krzyż na szczycie jak słońce lśni.

W ogrodzie cisza taka święteczna —
Palm tylko słychać radosny szmer,
Od grobu jasność bije słoneczna —
Gdzie spoczywała miłość odwieczna,
Siedzi postaniec niebiańskich sfer.

Wiatr dziwne niesie szepty od wschodu —
Na ścieżce skrzypi nieśmiały krok.
W twarzy niewiasty wyraz zawodu —
Widząc grób pusty w głębi ogrodu,
Łzy zaciemniają jasny jej wzrok.

Daremno niesie drogie wonności —
Ciało Jezusa zabrał już wróg.
Wtem widzi postać cudnej jasności,
Wzrok swój podnosi pełen radości —
Przed nią w triumfie Pan jej i Bóg.

ciaż ciało zginie. Nie będzie jednak obojętnym w tamtejszym życiu, czy ktoś żył tu na ziemi po Bożemu, czy prowadził życie bezbożne. Ten ostatni nie wyjdzie już ze Szeolu, owego zaś wybawi Bóg z podziemi (Psalm 49, 15).

Późniejsze Pisma Starego Testamentu przedstawiają prawdy o rzeczach ostatecznych jeszcze wyraźniej. Prorok Ezechiel (w 6 wieku przed Chr.) pociesza wygnańców żydowskich, żyjących w Babilonii, że naród ich nie zginie. Widzi on pole zasiane szkieletami ludzkimi; na rozkaz Boży zstają się one i przyoblekają się w ciało. Widzi, jak życie napienia te ciała i jak się podnoszą z ziemi. Aby podnieść swoich wygnańców na duchu, przedstawia im Prorok w obrazie, że skończy się ich niewola, którą uważano za śmierć narodu, wrócić do kra-

ju, że zmartwychwstają jako naród do nowego życia. Jako obraz służy Prorokowi cud zmartwychwstania ciała, które wszystkich czeka po śmierci. A więc za czasów Ezechiela istniała już u Żydów wiara w zmartwychwstanie.

Także księgi Makabeuszów, które powstały później od księgi Proroka Ezechiela, w 2. wzgl. 1. stuleciu przed Chr., świadczą o wierze w zmartwychwstanie. W Syrii, do której należała wówczas i Palestyna, panował król Antioch IV, który żądał od wszystkich poddanych, aby przyjęli nie tylko kulturę grecką ale i religię, wyznawaną przez Greków-pogan; tylko Żydzi wtenczas po wielkiej części oparli się tym zamiarom hellenizacyjnym. Woleli raczej ponieść śmierć męczeńską za wiarę przodków swoich. Do nich należeli tak zwani bracia makabejscy z matką swoją. Jeden z nich tak zawołał, gdy go, przyprowadzono na śmierć: „Ty zbrodniarzu! Wprawdzie odbierasz nam życie doczesne, ale król wszechświata wskrzesi nas, którzy umieramy za prawa Jego, do życia wiecznego“ (II Mak. 7).

Wskazują krytycy na pogańskie mity, opowiadania o bogach umierających i znowu powstających. Wnioskuje z tego, że Izraelici przejęli naukę o zmartwychwstaniu od pogan. Nie byłaby to więc prawda objawiona przez Boga. Na to trzeba odpowiedzieć: Paganie ubóstwiali całą przyrodę, nawet zmienny, różne zjawiska w przyrodzie przedstawiali sobie jako bóstwa. Gdy zamierała przyroda, znikaly kwiaty, opadały liście z drzew, wówczas mówili poganie, że bóstwa zstępują do podziemia. Skoro zaś przyroda budziła się do życia, mówili poganie, że bóstwa wychodzą z podziemi. Moglibyśmy to określić jako „przezimowanie“ bóstw w podziemiach, jak się mówi o zimowaniu niektórych zwierząt. Bóstwa pogańskie nie umierały, więc nie może być też mowy o zmartwychwstaniu w które poganie nie wierzyli.

Wiele sobie w Egipcie opowiadano o jakimś Ozyrisie, który został uśmiercony i znowu powstał do życia. Tak, ale ten Ozyris nigdy już nie wrócił na ziemię, tylko pozostał na zawsze w podziemiach jako król zmarłych. Wszystko to nie ma nic wspólnego z biblijną prawdą o zmartwychwstaniu ciała ludzkiego. Wiara ta wyrosła mogła tylko na gruncie religii objawionej, jaką była religia izraelska. Według niej jest tylko jeden prawdziwy Bóg, który jest Panem wszechświata, a więc i podziemi.

Inaczej się ma sprawa z bóstwami pogańskimi, z których każdemu przydzielony jest pewien rejon. Bóg jednego rejonu nie miał żadnej ingerencji do spraw innego boga, który był panem nad inną częścią świata. Bóg nieba nie miał nic do gadania w podziemiach, gdzie panował i rozkazywał inny bóg. Natomiast Boga Izraela podlega cały świat i mebo i ziemia i co jest pod ziemią. On jest Panem tak Aniołów jak i ludzi żywych i umarłych. Na Jego rozkaz powstają też kiedyś zmarli do życia. A to, co Bóg objawił w Starym Testamencie, a co ma wartość wieczną i obowiązuje wszystkich ludzi, Pan Jezus potwierdził w Swoich naukach, zaś prawdę o zmartwychwstaniu przypieczętował On Swoim własnym Zmartwychwstaniem. Swoją stosunek do Starego Testamentu, o ile on dotyczy prawdy o zmartwychwstaniu, określił Pan Jezus słowami:

„A oto tu ktoś większy niżli Jonasz“.

Owe cudowne wyjście proroka z wnętrza ryby było tylko przepowiednią większego cudu, którego dokonać miał sam Jezus jako Syn Boży przez Swoje Zmartwychwstanie.

„Ego sum resurrectio et vita!”

Cichy, południowy błękit skrzył się złotym pyłem gwiazd i drżał mglistą, postrzępioną wstęgą Mlecznej Drogi. Srebrne strugi miesięcznych promieni sączyły się zwolna na omroczone i ponure wzgórze Golgoty, ślizgały się po cudnych a tajemniczych ogrodach Getsemani, co długim pasem zieleni przysiadły na zboczach górskich, i poczęły pęłzać wreszcie na to morze budynków, na połamaną teresę płaskich dachów wciśniętego w dolinę Jeruzalem.

Jakaś przejmująca i dostojna cichość legła nad okolicą. Wszystko spało.

Tylko w niewielkim ogrodzie Józefa z Arymatei u stóp skalistej opoki pochylity się wysmukłe cyprysy w milczącej a strasznej żałobie. Zaszleściła płaczliwie oliwka, zajęczała w poszumie rozłożysty libański cedr, zakolysały się dumne, pierzasto nastrzępione pióropusze palm. Gadały coś między sobą, szeptały, zawodziły.

Jakieś niepojęte misterium rozgrywało się w tym zakątku. W ogród wstępował czar.

Ale tam! — na samym krańcu, przed ścianą skalnego upłazu pośród nawisłych gałęzi oliwek płonęły dwie samotne pochodnie, zaknięte w szczeliny gniazd. W czerwonym ich świetle majaczyło tam kilka ciemnych, ludzkich postaci. Byli to żołnierze z miejscowej auxyliarnej kohorty. Czuwali u wielkiej, opieczutowanej przez rzymskiego prokuratora i Sanhedryn płyty grobowej, kiedy złożono ciało Ukrzyżowanego.

Kazano im strzec tej skały dniem i nocą, aby snadź nie przyszli uczniowie Jego i nie wykradli tego, co było umarłe, albowiem On, żyw jeszcze będąc, rzekł rzeszy mnogiej, iż w trzech dniach własną mocą zmartwychwstanie.

Strzegli tedy kamienia onego, którego i dziesięciu mężów dźwignąć by nie zdołało. Strzegli, aby snadź nie wierzyła rzesza, iż Prorokiem był i Królem, by nie wierzyła, iż zwyciężył Śmierć. Strzegli, by rozwiął się ów bluźnierczy obłąd, który ogarniał ciemne, galilejskie tłumy. Niechaj się stanie zabobonom kres!

Mijały chwile. Smolne pochodnie dopalały się zwolna.

Ten i ów drzemał wsparty na głazie, tamten gwarzył z cicha z kolegą, a inni znów skracali sobie czas rzucaniem kości, lub mruczeli żołdackie śpiewki. Dowódca straży, dekuron auxyliarnej kohorty, owinał się w szary galilejski płaszcz i przysiadłszy u samej płyty, pochylał się w głębokim śnie.

Cichosć była.

Alisci bladły już gwiazdy i kędyś, od wschodniej strony od rozległych syryjskich pustyń, jał się przebiełać firmament, gdy naraz przećknął się ze snu i zerwał na równe nogi.

— Idą! — krzyknął stłumionym głosem.

Żołnierze skoczyli, jak jeden i chwycili za kordy. Słuchem zatopili się w głuchą, niezmąconą ciszę.

— Nie idzie nikt! — odparli po chwili czekania.

Dekuron cofnął się i ochłonął.

— Przysniło mu się widocznie? Sen mnie zmorzył! — rzekł przecierając oczy.

Lecz oto przebudzeni żołnierze stali jakby zastygli nagle, znieruchomiali i drżący.

— I czegoż tak stoicie? — zapytał zdumiony dekuron. — Skądże ten lęk nagły i drżenie? Idzie kto? Mówcie, przez bogi! bo ja nic nie słyszę...

— Paniel — ozwał się jeden z nich drżącym szeptem. — Toć nie słyszysz, jak drzewa mówią ludzką gadają?... —

— Nie słyszysz, jak oliwka łka? — dojrzał drugi.

— ...jak śpiewają liście daktylowych palm...

— ...jak się gną w chwalbie figi i cyprysy...



Niech się raduje niebieski orszak aniołów. Niechaj z radości drży wszystko, co Boże i święte. Niech się raduje niebo i ziemia, opromieniona tak wielkimi blaskami, a gdy ją oświeci jasność Króla wiekulstego, niech cały świat czuje, że pozbył się ciemności. Niechaj się weseli także święta matka Kościoła, ozdobiony promieniami tak wspaniałego światła, a radosnymi głosy wiernego ludu niechaj zabrzmieni ten przybytek...

(z liturgii przy pośw. paschalu)

— Słyszycie?... „Hosanna!”

Z ogrodu powiało niesamowitym tchnieniem. Odważnym strażnikiem włosy zjechały się pod szyszakami, a z rąk wypadły z chrzęstem miecze.

— Nie, to szaleństwo! — porwał się za głowę dekuron, czując, że przenika go dreszcz. — Szaleństwo ogarnia mnie i was wszystkich... Tak! już natura zbudziła się i gada... człowieczymi głosami gada...

Śmiertelne przerażenie odjęło mu mowę. Zamilkli wszyscy i tylko serca łomotały im gwałtownie. Zastygli w martwocie i tak trwali. Coś wielkiego i niepojętego, a zarazem niesamowicie upiornego rozgrywało się wobec ich pełnej świadomości.

W ogród wstąpił czar.

Jęklliwe poszumy i poświsty, zbłąkane wśród ciszy cedrowych gałęzi melodie i owe — jakby człowiecze — cyprysowe łkania mącić się jęły i gubić, nacihać z lekka i stroić się zwolna w jakąś niewidzialną orkiestrę. Przyłączyły

się do niej cwierkliwe uniesienia ptasząt, niczym fletni dalekich granie. Zgrywała się wtedy wielka przyrody całej symfonia w plusku skalnych strumyków, we wichru granie przeciągłym, w dygocie drzew, w szemraniu liści, w rozbudzonego ptactwa trzaskach srebrzystych, w dalekim — dalekim beku pasterskich owczych stad... Zgrywał się zwolna jeden hymn wielki, w cichym zawodzeniu, poczęły, zataczał coraz szersze kręgi, nabrzmiewał, urastał w potęgę, szedł coraz dalej i dalej, coraz większy i świętszy, podrywał się z ziemi w jaśniejące błękity... przeradzał w jeden twórczy krzyk przyrody, w zachwyty objawienia —

Żołnierze stali jak porażeni i dygotali jak w febrze.

Aż wreszcie porzuli, że ziemia pod nogami im drży i łącząc się z tą niesamowitą, kosmiczną pieśnią Bytu, w głośnym gromów tętentcie woła o życie.

I w ślepym szalenstwie strachu twarzami przypadli na ziemię.

A w przestworzu rozległo się wielkie wszechświatów śpiewanie: „Hosanna!”

I jęły się dziać rzeczy, jakich nie widział Byt.

Od wschodniej strony pożar ogarnął błękity i lunę zatoczył ognistą jak całe morze czerwieni, morze przenaświętszej Krwi —

A w błyskawicach i dymie, ponad oparych mgieł kadzidła, ponad rozdarte szmaty chmur — weszło w boskim, błogosławiącym geście — słońce Krzyża!

Niech się obmyje w Krwi i w Męce odrodzi się świat!

Na żywot nieśmiertelny!

...A żołnierze tarzali się w prochu —

I wtedy zerwały się grobowe pieczęcie i rozsypały same —

Wśród huku gromów pękać jęła skała i w gruz waliły się okowy Śmierci. Moc je rozsadała ta sama, co światy powoływała do życia i wieczne wykreślała im szlaki. Szła twórcza przepotężna, jedyna!

I poruszyła się grobowa płyta. Niewidzialna ręka jednym wszechmocnym ruchem uniosła ją w górę.

Żołnierze zamarli w grozie. Grób był — otwarty!

I wyszła zeń Jasność jak sto słońce na niebie.

I wyszedł Ten, Który mówił rzeszom, iż we trzech dniach zmartwychwstanie. Nie wykradli uczniowie ciała Jego.

Wyszedł mocą własną, w błyskawicach i gromach, w drzeniu ziemi, w hymnie całej przyrody, w przejaśnej glorii wschodu... On — Stwórca — Bóg!

Zwyciężył Śmierć i błogosławił światu: OTOM JEST ZMARTWYCHWSTANIE I ŻYWOT!

A z tych rozżagwionych krwią, pożanych świtów, z tej najświętszej Krwi, co jak morze chluczała na ziemi, z onego w zygzakach błyskawic zjawionego słońca Krzyża — wyszedł dzień nowy, wieczny — nieśmiertelny!

I powitała go przyroda cała — Alleluja! Alleluja!



KS. JERZY STROBA

Tajemnica

Dzisiejszy człowiek łączy Wielkanoc z bajkami wierzbowymi, bo święto Wielkanocy jest dlań symbolem odradzającego się życia; albo łączy Wielkanoc z Święconem, pięknym staropolskim zwyczajem, bo Wielkanoc jest mu uświęconym tradycją świętem ludowym. Dzieci wreszcie łączą święto Wielkanocy z zajączkiem, czy pisanką. Wielkanoc jest im z dawna oczekiwanym dniem „śmigusa“.

Dla Kościoła jest Wielkanoc tajemnicą, której treść próbuje kościół wyrazić w przepięknych strofach wielkanocnego „Exultet“.

„Oto noc, która rozjaśniła ciemności grzechu światłem słupa ognistego, oto noc, która wszystkich wierzących w Chrystusa na całej ziemi, wyzwoliwszy od namiętności światowych i ziemności grzechu, przywróciła do łaski i oddała świętości, oto noc, kiedy Chrystus skruszywszy okowy śmierci, zwycięski z piekiel wstąpił na niebiosa...“

Kościół czując, że nie potrafi wyczerpać całego bezmiaru tajemnicy, próbuje ją wyrazić w słowach: „konieczny grzechu Adama...“, o szczęśliwa wino, któraś zasłużyła takiego mieć odkupiciela!“

Kościół łączy tajemnicę Wielkanocy z sakramentem chrztu św. Od najdawniejszych czasów Wielkanoc była głównym terminem udzielania chrztu św. Do dziś dnia zaś liturgia wielkanocna jest w znacznej części liturgią chrztu św.

Święty Paweł powiada w liście do Rzymian: „Czy nie wiecie, iż którykolwiek w Chrystusie Jezusie jesteście ochrzczeni, w śmierci jego ochrzczeni jesteście? Albowiem jesteście z nim wespół pogrzebani w śmierć przez chrzest, aby jak Chrystus wstał z martwych, przez chwałę Ojca, tak żebyśmy też i my w nowości życia chodzili“. (Rzym. 6, 3-4).

Kościół łączy Wielkanoc z sakramentem chrztu św., bo chrzest jest, według słów św. Pawła, powtórzeniem tajemnicy wielkanocnej! Na chrzcie św. umiera w nas człowiek grzechu pierwotnego, a zmartwychwstaje do nowego życia z Chrystusem nowy człowiek łaski Bożej, dziecko Boże!

Dzień tak wspaniały, jak Poniedziałek Wielkanocny, należało wyzyskać dokładnie — tak, jak dokładnie i skrupulatnie wyskrobywało się talerz po wymienionej jakiej potrawie.

Dłuższe leżenie w łóżku w tym dniu przeczytywało się jednomyślnie za karygodne i niewybaczalne marnowanie drogiego, wielkanocnego czasu. Wstawało się tedy w dniu owym wcześniej i to „na pamięć“, bez budzenia. A ktoś by też był wytrzymał wgnusnym barlogu, gdy czekały sprawy tak doniosłe, jak śmigus?

Spieszliśmy się do kościoła na ranne. Zyskamy przez to na czasie: tym dłużej potem będziemy mogli delektować się dniem świątecznym, tak obfitym w radość.

Po drodze odkrywaliśmy wielkanocnoponiedziałkową wiosnę. Bo wiosna Wielkanocnego Poniedziałku jest zgola odmienną, niżli wiosna któregośkolwiek innego dnia. Inna też jest od wiosny dnia wczorajszego — Wielkanocnej Niedzieli. Wiosna wczorajsza była uroczysta, dostojna i — co tu tać! — trochę nadęta; czuliśmy się wobec niej nieco onieśmieleni. Dzisiejsza wiosna była figlarna, roześmiana. Przez całą drogę skakała przed nami po bruku małymiasieczkowych ulic, raz po raz wyskakiwała na przydrożne drzewa, na druty telegraficzne lub na dach kamienicy i stamtąd filuternie jednym okiem na nas mrugając przypominała nam, czego i tak niepodobna było zapomiec:

„Chłopy! Śmigus!“

Nawet w kościele zdawało mi się, że ta rozsławiona wielkanocnoponiedziałkowa wiosenka wdrapała się na ambonę i starała się robić poważną minę, gdy ksiądz odczytywał ewangelie o dwóch uczniach, co szli do Emmaus. Ale kiegoś się jej to udawało. Ano, nie dziw! — młoda jeszcze, toż i figle jej w głowie.

O wpół do ósmej byliśmy w domu. Naprawdę zjadło się coś z wielkanocnych specjalów — nawet bez szczególnego entuzjazmu, jako że stało się w obliczu rzeczy wielkiej wagi — po czym zaczynał się obchód sąsiednich rodzin, gdzie były dziewczęta.

Poprzednio jednak każdy przygotowywał sumiennie niezbędne przy dokonywaniu wielkanocnoponiedziałkowego ceremoniału instrumenta. Nie wiele tego było. Wystarczyła butelka po Amolu albo Sidolu napelniona mydlami imitującymi perfumy. Prawdziwe perfumy — i to jeszcze w takiej zmyślniej, patentowej butelce — miał tylko Karol, z drugiego piętra, gdy szedł na śmigusa do swojej narzeczonej. Ten sobie mógł pozwolić, bo już był dorosłym i do tego czeladnikiem ślusarskim. My zaś musieliśmy zadowolić się wodą zaprawioną pachnącym mydłem, co zawsze jeszcze było wytworniejsze, aniżeli czysta woda. Bardzo popularne były też w owym czasie małe gumowe pęcherzyki, które wciągano się na kran wodociągu, napelniało wodą, potem prędko przyciskało się szyjkę i teraz można już było w dowolnym czasie i na dowolną osobę skierować ostry strumień wody. Ujemną stroną owego instrumentu było to, że bardzo prędko pękał, narażając nas na duże straty materialne, a przysparzając zysków

drogerzyście. Już w ostatnich dniach przed Wielkanocą wszystkie drogerie w mieście robiły kokosy na owych pęcherzykach.

Sam przebieg ceremoniału nie wymagał opisu. Odbывał się on wedle utartego programu ogólnoeuropejskiego, uświęconego patyną wieków.

Dokonawszy ceremonii czekało się chwilę na progu, niby tak z grzeczności, żeby zaraz nie uciekać, a zerkano się na gospodynię, czy nie wyciąga z kredensu przeznaczzonego dla nas haraczku w postaci kraszanki, czy jajka z cukru, prezentującego się nad podziw efektownie, choć wewnątrz pustego. Kraszanka czekoladowa była zdobyczą ogromnie rzadką. Zdaje mi się, że tylko jeden raz w życiu udało mi się zdobyć taką rarytas.

Po powrocie do domu oglądało się trolea śmigusowej wyprawy: parę kraszanki, dwa zwykłe, białe jajka, trzy cukierki, a czasem kilka groszy.

W niektórych rodzinach matki i córki opłacały się pieniędźmi. Choć w zasadzie pomysł był niezły, zdobywało się bowiem w ten sposób pewien fundusz na nieprzewidziane w budżecie domowym wydatki, mimo to sposób ten był wielce krępujący i nie bardzo nam przypadł do gustu. Przed przyjmowaniem brzęczącej monety spadało się do rzędu zawodowych śmigusowców, jakich zawsze sporo kręciło się po domach. Czuliśmy, że owym judaszowskim groszem odzierało się starodawny zwyczaj z blasku i dostojności tradycji. Pieniędźmi zbywały nas resztą tylko ludzie bez cienia romantyzmu, ludzie, nie mający absolutnie zrozmienia dla czaru i powabu odwiecznych zwyczajów. Trzeba przyznać, że na ogół byliśmy honorowi i przyjmowaliśmy pieniądze tylko w razie ostatecznej konieczności.

Wszystko zatem — jako się rzekło — odbywało się programowo i bez większych niespodzianek. Ze przy tym nie obyło się bez okrzyków przerażenia, śmiechów, płaczu, dasów, wymówek i narzekania z powodów poplamionych nowych sukienek — to jasne. To właśnie należało do programu.

Ze takie śmigusowe obrzędy odbywały się pomiędzy dziećmi i wśród młodzieży, w tym nie było nic dziwnego i nie byłoby powodów, żeby się nad tym szczegółowo rozwodzić. Inaczej natomiast przedstawiała się sprawa, jeżeli...

Nie godzi się wazakże uprzedzać w padków.

Przełoż postuchajcie, co działo się w pewnym domu przy ulicy Krakowskiej w Wielkanocny Poniedziałek któregoś tam roku Pańskiego!

U drzwi przedpokoju zadzwieczył dzwonek. (Zupełnie jak w powieści, prawda? Aniela pobiegła otworzyć. Wszyscy ciekawie wyciągają szyję: Któż też przychodzi do nas?)

W drzwiach stanął pan Tomanek: — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Odpowiadamy mechanicznie „na wieki!“, nie myślimy o czym innym: Czego on tu dzisiaj chce?

Pan Tomanek mieszka o dwie kamienice dalej, na ogół do nas nie zachodzi, chyba przy nadzwyczajnych jakichś okazjach. Ostatni raz był pewnie u nas na ojcowej „Abrahama“. Aż tu naraz dziś wchodzi parada, zyczy wesołego Alleluja i pyta matkę. Jest w kuchni — powiada. Wobec tego idzie do kuchni. Wita się z matką, stwierdza, że piękna wiosna się robi i naraz zmienacka wyciąga z kieszeni odkorkowaną już flaszkę i chlup, chlup wodą na nową matkę.

Najpierw konsternacja, potem śmiech. My, dzieci, stoimy półkołem dookoła bohaterów, zdajemy sobie w pełni sprawę z doniołości wydarzenia. Bo, że dzieci i młodzież, wzajemnie oblewają się wodą, to dla nas nie nowina, nie w tym też dziwnego. Inaczej natomiast przedstawia się sprawa, jeżeli (uwaga!) teraz właśnie kończy się zdanie rozpoczęte a niedokończony w poprzedniej kolumnie!) obrzędu tego dokonuje człowiek wyżej pięćdziesiątki, z polysiną, urzędnik na etacie kolejowym, człowiek, któremu nikt nie odmawia powagi!

Proszę Państwa, to już jest rzecz niezwykła i tu warto już otworzyć ze zdziwienia oczy, uszy i usta! To już jest wydarzenie, którym można będzie pochwalić się na podwórzu przed innymi dziećmi. W ogóle będzie o czym gadać przez dwa tygodnie — wszak zaszło coś prawdziwie niezwykłego!

A Pan Tomanek wygłosiwszy jeszcze parę słownych formułek codziennego użytku i stwierdziwszy nie bez słuszości, że święta mają się ku końcowi, wycofał się z naszych apartamentów.

Ale teraz matka znalazła się w kłopotach niebywałym. Przecież trzeba było koniecznie w jakiś sposób zrewanżować się za taką niesłychaną grzeszność! Nie pomyślała nawet pośród całego zamieszania, że można było dać panu Tomankowi kraszankę. Zresztą trudno go traktować na równi z dziesięcioletnimi smykami. Trzeba wymyślić coś godnego pomysłu pana Tomanka. Ale co? Posłać ojca, żeby połał wodą panią Tomankową? Głupstwo! Byłoby to liście malowania bez cienia oryginalności. Trzeba zdystansować pana Tomanka! Ale jak? Co robić? Co robić? A trzeba się spieszyć, bo z każdą opóźnioną minutą zamierzony rewanż traci na wartości i na atrakcyjności.

Po chwili zapadła decyzja. Wykonawcą pomysłu miałem być ja. Otrzymałem zlecenie, bym niezwłocznie zabrał się do wykrobania na niebiesko malowanym jajku pięknego napisu: „Kraszanka dla pana Tomanka“. — Ale w mig! — W owym czasie byłem nadwornym malarzem naszego rodu. Wykonywałem różne tabliczki, szyldy i napisy do użytku rodzinnego oraz życzenia imieninowe dla pokrewieństwa z obu stron. Przyjmowano moje dzieła nieraz z uznaniem

wyrażonym kiwnięciem głowy, ale specjalnie mnie nie chwalono. I oto teraz uznano oficjalnie, że mogę wykonać dzieło radające się na eksport. To było pochwałą wystarczającą. Z zapalem zabrałem się do pracy. Za minut piętnaście, a najwyżej dwadzieścia napis wraz z naokólną dekoracją był gotowy. Matka spojrziała i orzekła, że sam zaniosę kraszankę do mieszkania Tomanków. Mam zapukać, Pana Boga pochwalić, oddać kraszankę i powiedzieć, że to dla pana Tomanka. I nic więcej. Nie zapomnę, co mam powiedzieć, bo mam przecież ową tajemniczą formułkę napisaną na kraszance.

Poszedłem zatem, zapukałem, oddałem, powiedziałem. I mogłem zaraz wrócić do domu, ale nie oparłem się ciekawości. Stałem w progu i śledziłem wrażenie.

A warto było zostać. Pan Tomanek wziął jajko do ręki i dojrzawszy na nim jakoweś znaki, odwrócił się do żony:

— Agnieszka, okulary!

Popatrzył na napis przez okulary, spojrzął na mnie, potem wytarł okulary i oczy, jeszcze raz odczytał napis i podał kraszankę żonie:

— Przeczytaj!

A jaki był dumny przy tym! (Niech wie Agnieszka, co się robi na moją cześć!) Ale widać było, że bardziej był zdziwiony, aniżeli dumny: Skądże ci ludzie (niby my!) mogli mieć taką kraszankę z gotowym specjalnie dla niego napisem? Skąd w ogóle mogli wiedzieć, że on przyjdzie ze śmigusem? A któż mógł ułożyć taki dowcipny wiersz, co tak doskonale się rymuje: „kraszanka — Tomanka“? — Czy może mieli na wszelki wypadek gotowe kraszanki dla wszystkich panów z okolicy? Oczywiście niepodobnie! Że w tym krótkim odstępie czasu od jego odejścia od nas aż do mojego przybycia do nich ktoś mógł ułożyć ów wiersz na jego cześć i wypisać go na malowanym jajku, do tego drukowanymi literami, tego w ogóle nie brał pod uwagę. Taka możliwość dlań zgola nie istniała.

Słyszałem potem, że pan Tomanek z dumą pokazywał swoją kraszankę sąsiadom i gościom, zawiózł ją nawet do swoich krewnych, a wszędzie rozpowiadał, że pojąć nie może, jak mogliśmy mieć przygotowaną dla niego kraszankę, skoro bynajmniej nie mogliśmy go oczekiwać, jako że po raz pierwszy strzeliło mu do głowy, żeby pójść na śmigusa.

Dziś pan Tomanek w królestwie niebieskim ogląda większe niespodzianki i cuda, aniżeli wykonaną w kwadransie pisanek i już go nie dręczy zagadka tajemniczej kraszanki.

A ja, gdy wspominam starodawne i piękne zwyczaje świąteczne, zawsze z podziwem patrzę na dobroć i Kościół, który rozumiejąc nasze ludzkie pragnienia, pozwolił, by obok urzędowych, liturgicznych ceremonii i obrzędów wyrosły i owe świeckie, choć z kościelnymi świętami związane zwyczaje, które wśród szarych tego życia tak wiele dostarczają nam prawdziwej, niewinnej i pozytywnej radości.



WIELKANOCY

Umiera w nas człowiek grzechu...? Przecież my po dziś dzień odczuwamy go w nas. Czujemy jak się buntuje, domaga swoich praw, chce zadusić i zniszczyć w nas Boskie życie łaski uświęcającej.

W rzeczywistości tajemnica Wielkanocy została na chrzcie św. zaledwie zapoczątkowana w naszym życiu. Zadaniem naszym jest żyć tą świętą tajemnicą, powtarzać ją codziennie na nowo, tzn. troszczyć się o to, by umierał w nas człowiek grzechu, a zmartwychwstawało, potężniało nowe, Chrystusowe życie łaski uświęcającej.

Heroldem tej codziennie powtarzanej tajemnicy Wielkanocy jest znowu św. Paweł, który w liście do Kolosan wylicza najważniejsze wady starego człowieka, które mają w nas umierać: nieczystość, chciwość, gniew, złość, nienawistna mowa, oraz cnoty, które mają zmartwychwstawać i rość: miłosierdzie, dobroć, pokora, cichość, przebaczenie.

Sireszczając możemy powiedzieć: codziennie umierać i zmartwychwstawać z Chrystusem znaczy codziennie troszczyć się o to, by było w naszym sercu coraz mniej złości, a coraz więcej miłości i dobroci.

Katwym to zadanie nie jest. Jeżeli jednak codziennie powtarzać będziemy tajemnicę Wielkanocną w naszym życiu, ciągle na nowo umierać i zmartwychwstawać z Chrystusem, wtenczas tajemnica Wielkanocy, która stała na początku naszego życia chrześcijańskiego, która była treścią i programem naszego życia, będzie również jego koroną. Wtenczas Boskie życie ogarnie kiedyś naszą duszę i nasze ciało i złączy nas na wieki z Chrystusem zmartwychwstałym.

Wielkanoc nie jest tylko świętem budzącego się życia, nie jest tylko uświęconym tradycją świętem ludowym, nie jest tylko wesołym dyngusem, lecz jest wielką tajemnicą, która jak potężny luk opanuje całość życia chrześcijańskiego. Jest jego początkiem, najgłębszą treścią i nagrodą.

Wielkanoc jest tajemnicą naszego zespłania się z Chrystusem, tajemnicą naszego osobistego odkupienia.

Ks. Jerzy Stroba

Wielkanoc w poście

Rozmawiali z redaktorem Kłosem już od pół godziny.

— Nie, powiada Kłosz, nie wydaje się, by ta sprawa była związana z obserwacją Szydłowskiego. To się raczej łączy z Teofilem. Ale kto tu sypie?

— Dlaczego mówicie o sypaniu?

— A skąd Gucio trafił na Adama i skąd znalazł adres Róży?

— Kiedy wzięli Różę?

— Dziś o północy...

Rozmowa toczyła się nerwowo. Nie uważali na ulice, którymi wędrowali. Wyczulona przez długie lata życia konspiracyjnego ostrożność instynktownie jednak kazała im zmieniać temat przy mijaniu przechodniów; wtedy uśmiewali się do siebie obojętnie, rzucając bezbarwne frazesy.

— Dawno już nie pamiętałem takiego błota...

— Tak, Kraków słynie ze swego błota, szkoda, że Pan nie włożył kaloszy.

Józek był przybity rozmiarami katastrofy. Uderzenie władz Gestapo było celne. „Gucio” zastrzelił nas równocześnie akcją na Śląsku i w Krakowie. Znowu jedna komórka Polski Podziemnej sparaliżowana. Rzecz oczywista, pociągnie to za sobą zerwanie na pewien czas urzędowej łączności podziemnego Państwa Polskiego z terenem śląskim. Dopóki nie zmontuje się drugiego garnituru.

— A więc wpadł także Adam.

Relacje szumiały Józkowi w głowie. W tej chwili redaktor Kłosz ciągnął właśnie rzecz o Adamie: że był przetrutym zupełnie dobrym, choć może zbyt ryzykanckim, że przypomina sobie jego ostatni kawał, jak to Adam przetransportował autem niemieckiego generała i jego gazetki i książki do Katowic; kolega Adama, Ślązak z Bogucic, będący szoferem owego generała, wioził z Krakowa rzekomo „bieliznę i drobne prezenty” żołnierzom do swoich rodzin; paczki ugniatały generała, więc złożył je sobie na kolanach...

— Redaktorze, stop, mamy „cienia” za sobą...

Od pewnego czasu ktoś ich obserwował. Wytarty szary płacz. Bronzowy „Hückel” z dużym rondem, nasunięty na oczy. Przyśtańli przed słupem reklamowym. Cień przeszedł, ale stanął dziesięć kroków przed nimi; oglądał z zainteresowaniem wystawę jubilejską.

— O czym rozmawiamy?

— Powiedzmy, no, dajmy na to, o trudności otrzymania wagonów na załadowanie złomu, przyjechaliśmy do Warszawy urzędowo w tym celu. Znamy się, dajmy na to, z czasów przedwojennych, na studiach w Poznaniu...

Typ stał przed jubilerem aż przeszli. Zraz też ruszył za nimi.

Stanął dla upewnienia się przed małym sklepikiem, gdzie w oknie nie było nic, jeno sama przedziałowa „Lucilla”. Z boku wisiała karteczka: „Poszukujcie się młodej pomocnicy do gospodarstwa domowego, informacje w sklepie”. Cień bezczelnie stanął przy tej kartce. Józek wszedł do sklepu i kupił 3 paczki kawy. Cień wszedł również; chciał kupić dwa pudełka zapalek. Zapalek nie było.

Józek znalazł się znów przy redaktorze Kłosem.

— Chodźmy prędzej, na rogu znikam prawo, pan w lewo.

— Tak. Kiedy jedziecie?

— Dziś wieczór.

— Trzymajcie się.

Ho. Józek gnał, nie oglądając się. Cień nie strzelał. — Pewnie złapał Kłosza — przemknęło mu przez myśl. Wskoczył do jadącego na Alei Słowackiego tramwaju.

Teraz już od dwóch blisko godzin siedzi w ciemnym przedziale pociągu pospiesznego „Krakau—Warschau über Eschenstochau und Koluschki”. Tak wcześniej kazała mu przyjść ostrożność. Później, w czasie bliskim do odjazdu pociągu mógł stać na przejściu „Gucio”. Józek był przekonany o aresztowaniu Kłosza, którego biuro pewnie znajdowało się już pod obserwacją, kiedy tam doszedł. Nie mógł tylko pojąć głupoty gestapowca, który ich właściwie przez swą nieumiejętną inwigilację spłoszył.

Boże, jakże ciężko przeżywa się takie sytuacje jak dzisiejsza: wpadła tak wspaniale działająca komórka, tak dzielni ludzie. Boli bezsilność. Budzi się wściekłość. Gorączka myśli i gorączka serca. Kiedy po długim po mieście błądzeniu dla zmylenia ewentualnej obserwacji i zgubieniu Cienia, Józek znalazł się po południu w kościele Dominikanów, uprzytomnił sobie potrzebę modlitwy. Pragnął się modlić za tych, którzy jeszcze niedawno byli w pracy, którzy, jak Adam, Teofil, Róża, Szydłowski, poświęcili dla tej pracy siebie. W gotyckiej krućcie kościoła wisiał Ukrzyżowany. Z głębi dochodziły śpiewy wielkopostne. Józek niepostrzeżenie zostawił na zakurzonej oknie krućty trzy paczki kawy „Enrillo”. Nie wiedział co z tą kawą począć.

Przyjdzie biedny, może się z tego prezentu ucieszy. — Myślał równocześnie o tej kawie, o aresztowanej Róży, o tym, że trzeba by się żarliwie modlić. Zamiast jednak modlitwy powtarzał tylko słowa:

Boże, Boże!

Ciężkie westchnienia zostawały w pierśsiach. Kłęcząc długo.

I w tym właśnie kłeczeniu, które winno być poświęcone wyłącznie Bogu — wyłoniła się spośród ważnych i pobocznych spraw związanych z konspiracją i z największą wyspą śląsko-krakowską, wyłoniła się rzecz, która go samego zdumiała: uświadomił sobie, że największą kłeskę stanowi dlań aresztowanie kurierki — Róży. Co tu dużo gadać, potrzeba było aż tej tragedii, by mógł poznać swoje uczucie. Przed Chrystusem w krućcie Dominikańskiego kościoła powązwały się ich dni. Życie zalażało się w nie spodziewanej perspektywie.

W tym samym czasie z małego okienka w ostrolukach spadała cienka smuga ukośno jasność. W jakimś niepojętym skojarzeniu ukazał się oczom duży krzyż przepasany czerwoną wstęgą zmartwychwstania. Cóż to za dziwne sprawy dzieje się teraz. Słychać wspaniały uroczysty akord dzwonów. Niosą się tłumy rozpieśwane przed świątynią, ale dlaczego nie jest to już kościół Dominikanów, ale kościół Garnizonowy w Katowicach? Jest rezurekcja. Widać baldachin, za baldachimem kroczy w mundurze harcercskim kurierka Róża z dwiema świeczkami osadzonymi w lichtarzykach. Te lichtarzyki z zapalonymi świeczkami już gdzieś widział. Tak, tak, one to przecież stały kiedyś w waleńskim pokoju na ulicy Halickiej, gdzie Róża składała przysięgę na wierną pracę konspiracyjną. Ach, to pewnie już jest po wojnie... Józek idzie w stronę baldachimu, bierze swą niedawną kurierkę pod rękę i tak idą za zmartwychwstałym Chrystusem. Nagłe spojrzenia ich krzyżowały się z wizerunkiem człowieka w szarym płaszczu w brązowym „Hücklu”, nasuniętym na czoło. Bez-

czelnie, szybkimi ruchami zęglował wśród tłumy w ich kierunku. A tu dzwony śpiewają uroczyste święto. Żołnierze prezentując broń tworzą szpaler. Ach, Chryste! przecież to polscy żołnierze w sztywnych rogatywkach z orłami, w szarych mundurach! Józek błyskawicznie decyduje się zatrzymać całą procesję.

— To jest gestapowski szpicel — krzyczy — trzeba go zastrzelić!

Poruszenie. Żołnierze mierzą wprost w szpicla. Dzwony walą jeszcze głośniejsze, aż w głowie huczy. Kiedy padnie salwa? Jednak salwa nie padła. Oto ni stąd ni zowąd zjawił się przed żołnierzami redaktor Kłosz. Był w mundurze porucznika polskiego, mundur miał przepysznie skrojony. Rzekł donośnym głosem:

Rozkazuje wam: przebaczenie temu łotrowi, jako i Chrystus przebaczył.

Gestapowiec nie zdiwiał się. Robił wrażenie człowieka, który wiedział, że tak właśnie, a nie inaczej sprawa się zakończy. Teraz stał blisko Józka i Róży. W jasnozielonych oczach miał błyski pogardy i zemsty; zdawał się mówić: ja was i tak dostanę. Nagle ktoś szarpnął Józka za rękaw. Trzeba iść. Lud dalej śpiewał pieśń o zmartwychwstaniu...

Józek, Panie Józku, cieszę się, że Was w tych ciemnościach pociągu odnalazłem...

Józek przetarł oczy. Z oświetlonego peronu dochodziło do wagonu słabe światło. Przedział nie był jeszcze zupełnie zapelniony. Przyjaciół Józka, pan Flora, u którego Józek od dawna miał w Krakowie „punkt” i któremu dziś rano zlecił obserwowanie dalszego biegu wypadków związanych z wyspą, stał przy nim i szarpał za rękaw.

Wyszli na korytarz. Szeptana rozmowa trwała krótko.

Po chwili Józek wrócił do przedziału, który począł się też gwałtownie napieniać podróżnymi. Na półkach i pod ławkami rosły bagaże. Oczywiście był to tak zwany szmugiel; głównie tytoń, drożdże, papierosy. Z Krakowa nie opłacało się wieźć niczego innego. Dopiero dalej, w Częstochowie, Piotrkowie wsiadał szmuglerzy z mąką i z pospolitą „rabanką”.

Każdy wiezie do Warszawy, co może. Józek wioził wiadomości o katastrofie komórki krakowsko-śląskiej. Tylko nie wiedział w tej chwili, co najpierw zraportuje: to że redaktor Kłosz, z którym dziś rano jeszcze konierował — nie żyje — zastrzelił go gestapowiec w chwili, gdy Kłosz usiłował zbiec, czy też o tym, że kurierka Róża znajduje się na wolności w bezpiecznym miejscu — jak donosił przed chwilą pan Flora „z punktu”.

Kurierka Róża. Hm. Cóż to ja śniłem o niej? Przeżywałem w półnie święto Wielkanocy.

Pociąg już dawno był ruszył. Siłoczeni ludzie zaczęli śpiewać jakąś pieśń wielkopostną.

Wybaczenie Józkowi, w tej sytuacji marzyła mu się dziewczyna w mundurku harcercskim, która nieślawno prowaździł pod rękę w czasie rezurekcyjnej procesji w kościele garnizonowym w Katowicach.

Szła tak razem w drzwonach choć wokół panowała pełna bolesna noc wielkopostna.

ISKIERKI

Wszystkie wielkie i zdrowe dusze są wesołe i pełne nadziei. Przykład ich zaszczepia się i rozszerza daleko, pociesza i oświeca wszystkich wchodzących w zakres ich wpływów.

Samuel Smiles

Mrok gęstnieje coraz bardziej. Szara barwą maluje białe jerozolimskie domy, a na zielone krze i drzewa zawiesza czarne zasłony. Po ulicach snują się ostatni przechodnie. Dwie niewiasty spieszą szybko drogą ku Syjońskiej bramie. Potem skracają na prawo.

— Semeo, stań chwileczkę. Ten koszyk ciąży mi bardzo.

— Pozwól, niech ja go teraz poniosę — mogłaś wcześniej powiedzieć, że taki pełny.

— Nie, Semeo, zostaw, przecie i twój koszyk nie lekki. Widzisz, nakupiłam ryb, bo myślę, że tam teraz w wieczniku wielu uczniów się zebrało.

— Te same myśli miałam, dlatego właśnie niosę te kilka plastrów miodu. To nasz miód... nieraz go Rabbi chwalił...

— Semeo, a może to prawda; że Szymon rozkazał uczniom, by ciało z grobu wyjęli i ukryli? Przecie to ciało najdroższego Nauczyciela... — oczy Lia napelniają się łzami.

— Nie wiem, nie wiem. Ojciec temu wierzy, i dlatego śle mnie ze słowami ostrzeżenia do Szymona. Ale ja — nie wierzę... ja wciąż myślę o tym, co Rabbi raz powiedział... mówił coś o zmartwychwstaniu!

— Cicho, Semeo, nie mów tak głośno! — Młoda niewiasta ogląda się trwożliwie. — Biegnijmy! Już tylko parę kroków.

Staneły przed domem Marii, matki ucznia Marka. Z głębi nie dochodził żaden głos. Zdać by się komu mogło, że nikt tam nie mieszka. Na duże okna wiecznika spuszczone widocznie zasłony, bo ani jeden promień światła nie padał na ulicę.

— Zakołataj, Semeo, ale nie za ostro, bo się przelekna. — Drewnianym, suchym jękiem odezwała się kołatka. Minęła długa chwila, zanim uchyłono drzwi.

— Kto zacz?

— Puszczajcie. To my. Semea i Lia.

Weszły do ciemnej sieni. Potem do wiecznika. Dwie lampki oliwne skąpo oświetlają dużą salę. Piomyki ich drżą, uderzane falą przyciszonych, lecz licznych głosów.

— Zaprowadźcie mnie do Szymona — prosi Semea — mam dlań słowa przyjacielskie od mego ojca.

— Zbliź się, Semeo, tu jestem. Mów.

— Ojciec mój w trosce o was wszystkich, prosi cię, Szymonie, byś nie przepominał o surowym edyktie cesarskim naczynającym karę śmierci za znieważenie grobu. I prosi, byś dobrze ukrył ciało Mistrza... Jeśliś je wziął... — dodaje Semea od siebie, a serce jej woła: nie, nie, tyś go nie ukrył! powiedz, że on zmartwychwstał! — Ojciec mój każe wam powiedzieć — ciągnie cicho dalej — byście się nie ukazywali kapłanom, bo oni...

— Już dobrze, Semeo — przerywa jej Piotr — wróć do ojca i powiedz mu, że próżno się troska — Pan zmartwychwstał, żywie!

— Rabbi zmartwychwstał?! — Semea wznosi ręce radośnie — wiedziałam, serce mi mówiło! I nie wierzyłam ojcu... Powiedzcie, skąd ta nowina? może, możeście sami Go widzieli?

— Widzieliśmy, Semeo — promienna twarz Marii z Magdali wychyla się z grona niewiast — Maria Jakubowa i Salomea spotkały Go na drodze, gdy od pustego grobu wracały, przystąpiły i ujęły nogi jego i pokłon Mu oddały, a on im powiedział: Witajcie! — I Szymon Pana widział! I ja Go spotkałam w ogrodzie. Myślałam, że to ogrodnik. Pytał, czemu płaczę, kogo szukam, i dopiero gdy zawołał: „Mariol”, poznałam, że to Rabboni.

Radosny gwar bije o ciemne ściany wiecznika. Nikt nie słyszy, że kołata...
BRONISŁAWA OSTROWSKA

REZUREKCJA

(Jaj wysmakłych cyprysów i głuchy śpiew z choru,
Laury ciemne i lampy, płonące za kratą;
W grobie leży z ociadłą okrytą makatą
Błdy posąg Chrystusa z białego marmuru.

Wizja wielkiego ołtarza
w świecach jarzących i w złocie,
W dymy błękitnych kadzideł
złota monstrancja spowita,
I tłum żarliwy, zwarty,
w wyczekującej tęsknocie
W ciemnej nawie kościelnej,
jak falujący lan żyta.

Nagły wybuch organów
i dzwonną z wieży kościelnej,
I grom zbudzonej pieśni:
wstający hymn Alleluja!
Z tysiącznej piersi wyrwany
wznosi się, lka nieśmiertelny,
Łopocze świec płomieniami,
we mgłach kadzielnich się buja.

Zmartwychwstającym gromem
rozwiązał ulotne kadzidla,
Rozpiera mury kościelne,
drży w arkad sklepionych stropie:
Zda się, kościół się zerwał,
rozwinął tysiączne skrzydła
I płynie głębią niebieską
w złotych błyskawic potopie.

~~~~~  
ka u drzwi mocno i niecierpliwie woła.  
Kleofas i Nikodem, co z Emmaus wracali,  
stojąc pod zamkniętymi drzwiami  
dziwią się tym radosnym głosom, którymi  
dyszy ciemny dom w ciemną noc.  
— Co to się stać mogło, Kleofasie?

Czyżby i oni Pana widzieli?  
Weszli szybko do sali. Natychmiast  
otoczono ich kołami. Ogorzałe, pomarszczone  
twarze rybaków promienieją  
wesołem, oczy niewiast błyszczą zachwytem,  
dziękowaniem, nikt nie pyta uczniów z Emmaus:  
„czemu już powracacie? co się stało?”  
Zewsząd biegną mocne, jasne, słowa:

— Pan powiedział zmartwychwstał!  
— Szymonowi się ukazał!  
— Niewiasty go u grobu spotkały!  
— Z Marią Magdaleną mówił!

Nikodem patrzy stropiony na Kleofasa, Kleofas na Nikodema, i na nic.

— A teraz nas posłuchajcie, bracia — odzywa się Kleofas donośnie. — Dłatego powróciliśmy do was, bo widzieliśmy Nauczyciela i mówiliśmy z nim. — I znowu cicho było w wieczniku. Ciekawie słuchano, z sercem w podzięce rozmodlonym, jak Rabbi chleb wziął, błogosławił i łamał...

— A wtedy otworzyły się nam oczy i poznaliśmy Go. A On zniknął...

— Zniknął... — delikatnym szmerem odbijają się słowa uczniów o sklepienia sali. — Zniknął... delikatnym drżeniem płomyka dygoce lampka.

Naraz płomyki obydwu lampek olejnych pochylają się gwałtownie, jakby pod naporem nowej fali powietrza... przez izbę powiało, jakby kto drzwi i okna pootwierał... oczy wszystkich zwracają się ku drzwiom... zamknięte, nikt ich nie otwierał. A przecie jakaś jasna postać kroczy ku nim...

— Pokój wam! — Czyżby nie słyszeli? odsuwają się powoli w głąb izby, z oczu wyziera im przerażenie, oddech świszczy zapagły trwożą...

— Jam jest, nie bójcie się. — Lecz nikt się nie zbliża. I Szymon, i Nikodem z Kleofasem, i Semea z Lią, mniemają, iż ducha widzą.

— Cemu jesteście zmieszani, a zwątpienie wstępuje do serc waszych? — Pan Jezus wzrokiem pełnym dobroci ogląda po twarzach swych wiernych. — Ouladajcie ręce moje i nogi, że ja ten sam jestem. Dotykajcie się i przypatrujcie, bo duch nie ma ciała ani kości, jako widzicie, że ja mam — i ręce swe wyciąga ku apostołom i niewiastom. Uśmiech przewija mu się po obliczu, gdy widzi, jak trwożą znika z ich oczu, jak radość oqarnia ich serca, a krótkie, szczęściem rware słowa powitania leżą mu do nóg, jak wonne kwiaty.

— Panie nasz!

— Rabboni!

— Nauczycielu!

— Jezusie zmartwychwstały! — Już cisną się wkoło niego, oczy zatapiają w jego oczy, na dłonie przebadzone z czcią patrzą, lecz jeszcze dotknąć nie śmia ani rąka u szaty...

— Macie tu coś do jedzenia? — pyta w końcu Jezus widząc, że się jeszcze wahają.

Stropił się Szymon.

— Nikt z nas do miasta nie zachodził, nic nie mamy...

Wtedy Semea z Lią radośnie poskoczyły do swych koszy.

— Są ryby pieczone i miód jest! — Lia drżącymi rękami podaje Panu kawalek ryby.

— A tu plasier miodu, Mistrzu, miodu, któryś nieraz pochwalił.

Złotem mieni się pokarm szlachetny w rękach Semei.

— Pamiętam, niewiasto — mówi Jezus i podnosi do ust słodki plaster.

A gdy zjadł wobec nich, wzięwszy ostatki, dał im.

I spożywali z weselem pokarmy, które Mistrz dotknął rąk swoich poświęcił.



# JAK TO ZWYRTKULAN SPRAWOWAŁ ALLELUJE

Ukośm padły słoneczne promienie na spokojną wioskę cieszyńskiej ziemi, o'oczona groniami pełnych jodeł, modrzewi, buków i sosen.

Na świecie był jasny, kwietniowy dzień, pełen świeżych oddechów ziemi, rozdygotanej śpiewem nadlatujących ptaków.

Zdawało się, że do tej wspaniałej natury, bogatej w rozslonecznione nadzieje, śmiechającej poprzez aksamitne bazię, krokusami, pierwiosnkami i sasankami ubarwionej, żadne ludzkie, ni też szatańskie zło nie może mieć dostępu.

A jednak — Za biurkiem swojej kancelarii parafialnej, zmartwiony wielce siedział sędziwy proboszcz, ksiądz Zabłocki.

— Jakże będzie mógł swoim ludziom wytłumaczyć, że wedle najnowszego rozporządzenia ostatnie odbyło się dziś nabożeństwo polskie. Mury tego kościółka, od wieków przesyconego kadzidła wojną i modłami praoroców, nie będą już rozbrzmiewać echem kazai, nauk, ogłoszeń, a zwłaszcza tych przepięknych pieśni w języku ojczystym.

Gęste zwaly ołowianych myśli coraz natężczywiej wdierały się pod wyniosłe czoło, tworząc na nim dwie pionowe brzozy.

— Ani tych Gorzkich wyśpiewanych Zablów, ani tej oplakanej Drogi Krzyżowej w Wielki Piątek. Najgorsze jednak będzie z tą rezurekcją, na którą szykowali się całe procesje ludu z okolicznych wiosek, gdzie zakaz odbywania nabożeństw w języku polskim — już wcześniej obowiązywał.

Ksiądz Zabłocki powstawszy z biurka dużymi krokami przemierzał kancelarię, ni jak nie mogąc dojrzeć pod tym obłokiem słotczonym pod czaszką jednej bodaj przyjaznej myśli. Wszystko takie beznadziejne, nieznosne i cierpkie...

— I taki zawód ukochanym parafianom zrobić — powtarzał półgłosem. Nawet ogłosić tego zakazu z ambony nie może. Nie wolno mu, bo ściągnęłoby to nową burzę prześladowania, jak się to zdarzyło z konfratrem w sąsiedniej parafii.

Myśli proboszcza stawały się coraz uporczywsze i boleśniejsze. Dopiero gdy wglębił się w brewiarz, otucha powołać wstąpiła w zatroskane, kapłańskie serce.

Jednocześnie to samo strapienie, aczkolwiek inną formę przybierające, omotało kościelnego, Zwyrkulana. Usłyszawszy o zakazie zrazu tak się zaperzył, aż gorąc poczuł w oczodołach. Opamiętał się jednak, zgryzając w sobie tę wielką złość, zacisnął pięści, paznokciami kalecząc twarde dłonie.

Zwyrkulana, z całą zajądlnością potomka ludzi, których wierchy wychowywały, a wiatry do snu kołysały, szukał rozwiązania pro-

blemu: jak tu urządzić godną, prawdziwą rezurekcję?

Na cóż przeca mo taką twardą, gorolską czepoń? Czepoń, która niejedno znieść już musiała i umiała. I niejedno też przemysłać. Pewnie, że to myślenie Zwyrkulana nie było takie mądre tak farorzowe, czy też pana rectora, albo organisty, co tak szumnie dudnił po kościele na organach. Ale Zwyrkulana — na isto! — jak te jodły i buki mile mu były — pomoże farorzowi, by jego owcom krzywda się nie stała. Choćby w ten jeden raz — wielkanocną allelują. Pombóczek już tam iakoś dopomoże, że ani Niemce się nie sposzrzga, jak to wszystko szwornie bydzie sprawione.

Zwyrkulana śpiesząc po górskiej ścieżynie myślał tak uporczywie, aż pot skropił jego twarde, szerokie czoło. Gdy doszedł do Pamiarki zawieszony na słupku pod lasem, roześmiał się na głos, wypowiadając zrozadowaniem.

— Uż móm!

W niespełna godzinę później:

Daj Pombóg dobry dzień — pozdrowił pięknie, przestępując próg chalupy, w której mieszkał najlepszy jego kamrat, przedwojenny gminny pisarz.

— Dejez Panie Boże! — odpowiedziano mu z izby.

Po wymianie przysłowiowego dialogu o zdrowiu i powodzeniu, takiego samego, jakiego używali ojcowie i starzykowie przystąpił Zwyrkulana do sprawy, która go aż na gronie zagnała.

Gospodarz wraz z całą rodziną zgodnie przytakiwał, wreszcie orzekł:

— Psalmy bydom wszystkie rozpisane, ingustem na papierze. O to uż on som, pisarz, się postara. Jego zaś, kościelnego, sprawa, by jutro wieczorem chłopcy i dziolchy zeszli się u organisty. Po co się mają takie mocne głosy marnować? Uż to tam dobrze tyń Zwyrkulana pomyślał.

W ciągu następných dni Wielkiec Tygodnia moc roboty i ruchu było w parafii księdza Zabłockiego. Sprawowano się jednak cicho, byle tylko nie zwrócić na siebie uwagi kolujących „szpiclów“.

Zwyrkulana miał tymczasem jeszcze inne zmartwienie. Gdzieś tam zawieruszył się wystrugany kiedyś własnoręcznie przez jego ojca Pan Jezus.

Zafrasował się niepomiernie — ale tylko na chwilę — bo znów sobie przypominał, że tam na chórze widział kiedyś Pombóczka, i że bardzo się mocno nad nim zadziwił. Niby umęczony, ale taki jakiś zwycięski i swojski, jakiego jeszcze świat nie widział.

— Bydziesz móm w som roz Zmarłych wstałym — aż patrzeć jak Cię uwolnij z tych rupiec, a potem w źródlanej wodzie opłó-

czę i pomaluję — rozprawiał — zabierając się żarliwie do pracy.

Słońko chyliło się ku zachodowi załamując się promieniami nad drzewami, gdy w stronę kościółka ze wszystkich drózek i całym szerokim gościncem nadciągali ludzie. Po chwili zapelnilo się wnętrze kościelne, a ci, którzy wewnątrz pomieścić się nie mogli, pozostawali z odkrytymi głowami na dworze.

Ktoś tam już zwęszył, że tego roku nie będzie polskiej rezurekcji. Ludzie jednak nie dowierzali. Zeszli się po dawnemu, przeczuwając jednakże, że to „przeca niemożliwe“.

Zanim odezwaly się dzwony, pojawił się proboszcz, w białą kapę odziany i po modlitwie u Grobu Pańskiego zaintonował:

— Gloria tibi Trinitas.

Napięcie wśród ludu było wielkie — zwłaszcza, gdy nad wioską zadzwiezał dzwon, a do księdza niosącego złotą monstrancję podeszli czterej wielce szanowani gazdowie z baldachimem.

— Cum Rex gloriae Christus —

gruchnęło naraz tak szwornie, jakby co najmniej sami uczeni na księdza ludzie zebrałi się na to śpiewanie.

Poruszenie wśród zebranego ludu było wielkie.

— A więc nie po niemiecku — jak oni chcieli, — lecz językiem znanym i uprawianym w kościele śpiewali chłopcy i dziolchy. To sie do przeboleć — powiadał starsi.

Rozpoczęła się procesja. Stara procesja — jak dawniej. Ksiądz szedł z Panem Zmarłychwstałym pod baldachimem. Obok ministranci z kadzielnicami, a przed nimi — aż oczom nie chciało się wierzyć — parady kroczyl sam Zwyrkulana, dźwigając oboma ramionami takiego nowego „Pan Jezusa“, z drzewa rzeźbionego. Ten Zmarłychwstały, którego tak wczoraj niosł kościelny, miał taką szumną chorągiew i taki jakiś był swojski, że ludziny wprost wierzyć się nie chciało, że tegoroczna rezurekcja może być tak piękna, mmo wszystko. Trzykrotnie po dawnemu obchodzono mury kościółka, a tam z wieży dzwonek bił nieprzerwanie, jak gdyby wydzwonić chciał całą tę krzywdę, polskiemu ludowi; uczynioną, a jednocześnie pocieszyć ten lud strapiiony.

I wstępowała otucha w serca ludu, bo zdalo im się, że sygnaturka na wieży tak oto woła:

„Po—wstał Chry—stus u—mę—czo—ny!“

„Wsta—nie Pol—ska u—mę—czo—na!“

„Zno—wa bę dzie pol—ska re—zu—rck—cja!“

## Wojewódzki Fundusz Odbudowy Szkół

Pomoc dla szkolnictwa śląsko-dąbrowskiego

W sobotę 22. III. br. odbyło się nadzwyczajne posiedzenie Wojew. Rady Narodowej poświęcone zainicjowanej przez wojewę gen. Zawadzkiego sprawie pomocy społeczeństwa dla szkolnictwa śląsko-dąbrowskiego. W posiedzeniu wzięli udział oprócz przedstawicieli władz wojew., starostowie i prezydenci miast, dyrektorowie szkół powszechnych i średnich, przedstawiciele organizacji społ. i zawod. oraz organizacji młodzieżowych i szkolnych.

Gen. Zawadzki przedstawił obszernie braki i bolączki naszego szkolnictwa, któ-

rych państwo nie jest jeszcze w stanie zaspokoić.

Na utworzenie odpowiedniej ilości zakładów kształcenia obywateli, zbudowanie niezbędnych budynków dla szkół powszechnych i przedszkoli, rozwój odpowiedni oświaty dla dorosłych, zaopatrzenie szkół naszych w najniezbędniejsze tylko pomoce naukowe, urządzenie nowo wybudowanych budynków itd. potrzeba ogółem 4 miliardów złotych!

Wszystkiego od razu nie da się dokonać, toteż na razie akcja społeczeństwa ma zmie-

ścić do zdobycia najniezbędniejszej na początek sumy 200 milionów złotych.

W sprawie tej nastąpiło już porozumienie z przedstawicielami świata pracy, ze związkami zawodowymi, organizacjami politycznymi, ze spółdzielczością i inicjatywą prywatną.

Akcja na rzecz funduszu ma się przeprowadzić doraźnie i potrwać dwamiesięcie: marzec i kwiecień.

Niewątpliwie nikt od pomocy się nie uchylił w zrozumieniu tak ważnego obowiązku obywatelskiego.

Wojewoda Zawadzki i przewodniczący WRN, Kłocz wydalili do społeczeństwa śląsko-dąbrowskiego specjalną odezwę, zawierającą normy składek dla świata pracy, kupiectwa, rzemiosła i wolnych zawodów.

## 4-go maja pielgrzymka mężów i młodzieńców do Piekar



# PRZEGŁAD KATOLICKI

✱ Klasztor w Monte Cassino ma być odbudowany. Ojciec św. Pius XII zwrócił się z apelem do katolików o zbiórkę funduszu na rzecz odbudowy klasztoru Monte Cassino. Apel ten wydany został z okazji 1400 rocznicy śmierci św. Benedykta, założyciela zakonu, którego siedziba znajduje się w Monte Cassino.

✱ Patronka motocyklistów. Ojciec św. Pius XII wydał breve, w którym ogłasza oficjalnie Matkę Boską della Grazia e della Kreta patronką motocyklistów. Brewe papieskie określa motocykl wyrażeniem opisowym: „birota ignifero latice incita” („pojazd dwukółowy poruszany przy pomocy płynu zapalającego”). Należy nadmienić, że Matka Boska della Grazia e della Kreta jest szczególnie uwielbianą w miejscowości Ca-

stellazzo-Bormida w północnych Włoszech. W połowie marca br. przybyły tam bowiem setki motocyklistów włoskich, francuskich i szwajcarskich, którzy z rąk biskupa otrzymali błogosławieństwo. Po ukończeniu ceremonii grupy motocyklistów zagranicznych rozpoczęły zwiedzanie zabytków i monumentów włoskich.

✱ Widowisko religijne w kościele św. Piotra w Londynie. W jednej z najpiękniejszych świątyń Londynu, w kościele św. Piotra, odbyło się niedawno przedstawienie religijne, w którym między in. wziął udział Lord-Major Londynu. Widowisko religijne, napisane przez Goeffrey Edward'sa wprowadziło do akcji m. in. legendarnego króla Luciusa, Thomasa More, arcybiskupa Lauda i Krzysztofa Wrena. Jednym z naj-

wspanialszych obrazów był moment wizji Matki Boskiej z Dzieciątkiem.

✱ 10 beatyfikacji. Przygotowuje się szereg beatyfikacji na okres Wielkanocy. Kandydaci na świętych są narodowości: włoskiej 4, portugalskiej 1, francuskiej 4 i szwajcarskiej 1. Pierwszą ceremonią odbędzie się w dniu 13 kwietnia; będzie to beatyfikacja Conrada Ferrini, świeckiego profesora prawa rzymskiego na uniwersytetach w Mediolanie, Messynie i Padwie.

✱ Remont najstarszego kościoła w Szczecinie. Pierwszą pracą szczecińskiej komisji konserwatorskiej był remont najstarszego kościoła zbudowanego za panowania Bolesława Krzywoustego w 1124 r. Tej pięknej gotyckiej budowli nie zeszpeciły żadne późniejsze przybudówki. Pokryto dachem, odremontowano i zabezpieczono również kościół św. Jana z XIII wieku. Nadto prowadzone są roboty przy odbudowie kościoła św. Jakuba w Szczecinie.

## 'Na fali' WYDARZEŃ

☉ Z konferencji moskiewskiej. Przedstawiciele rządu austriackiego zostali zaproszeni przez konferujących w Moskwie 4-ch ministrów spraw zagr. dla odbycia konsultacji. Ministrowie omówili jedną z najważniejszych spraw konferencji: tymczasową organizację Niemiec pod okupacją 4-ch mocarstw sprawowaną przez Sojuszniczą Komisję Kontrolną. Propozycje min. Bevin'a w tej sprawie obejmują 5 zasadniczych punktów. Min. Bidault zaproponował stworzenie w Niemczech federacji małych państw lub okręgów rządzonych demokratycznie, min. Molotow zaś opowiedział się za utworzeniem jednolitej republiki niemieckiej z dwuizbowym parlamentem i z rządem centralnym. Wywołało to sprzeciw natchmatowy Francji i W. Brytanii. Delegacja francuska zaproponowała, żeby następna konferencja 4-ch odbyła się w Paryżu przed 1 lipca br. i zajęła się sprawą rozsiadlenia nadwyżki Niemców w innych krajach.

☉ Powrót z konspiracji. Amnestyjna akcja ujawniania się członków różnych organizacji konspiracyjnych przyniosła dotychczas zdekonspirowanie się ze złożeń broni przeszło 10 tys. ludzi. W komisjach amnestyjnych złożono około 3.500 sztuk broni palnej.

☉ Cofnięcie zarządzenia w sprawie kart żywnościowych. Zarządzenie z 25. II. br. pozbawiające miesięcznych kart żywnościowych pracowników przemysłu spożywczego, poligraficznego i monopoli państwowych zostało cofnięte wskutek starań Związków Zawodowych.

☉ O kulturę urzędniczą w Polsce. Minister Admin. Publicznej wydał okólnik do urzędników, w którym przypomina i poleca ściśle przestrzeganie szeregu podstawowych wymagań dotyczących stosunku urzędników do spraw interesantów i do nich samych. Zyczliwość, usłużność, pomoc i grzeczność — oto podstawy tego stosunku.

☉ 200 tys. Polaków chce wrócić. Według danych szefa Wydz. Repatr. i Op. Społ. Misji UNRRA w Polsce, p. Rolanda Berger'a, który bawił w Warszawie, chce powrócić ze strefy okupacyjnej amerykańskiej 60 tys. Polaków, ze strefy brytyjskiej — 100 tys. i ze środkowego Wschodu 33 tys. Są to zgłoszenia zarejestrowane.

☉ Kłeska powodzi. Okolice kraju naszego położone blisko wielkich rzek szczególnie Wisły (Warszawa) doznały katastrofalnej klęski powodzi. Kra zniszczyła kilka mostów. Bombardowanie łodów bombami 100 kg miejscami okazało się za słabe. Powódź zniszczyła polacie zasiewów, inwentarz żywy i chaty wielu gospodarstw, oraz pochłonęła ofiary ludzkie. Pomoc dla powodziennych jest koniecznością i nakazem społecznym.

☉ Szwajcarzy obdarowują akademików katowickich. Misja pomocy szwajcarskiej „Don Suisse” po udzieleniu pomocy młodzieży politechniki w Gliwicach przekazała znaczną partię odzieży dla 2500 akademikzek i akademików Wyższ. Studium Nauk Społ.-Gosp. w Katowicach: 500 ubrań męskich, 230 kostiumów damskich, 130 riaszecz damskich, 500 koszul męskich, 2000 półkoszułek letnich, 750 sztuk bielizny spodniej, 630 par skarpet, 500 swetrów, 500 par rękawiczek i 1000 chusteczek do nosa.

## 40 Kościołów na opolszczyźnie leży w ruinach

(Fragment z odezwy Administratora Apostolskiego w Opolu)

Chodzi znowu o ruiny nieodbudowanych dotąd kościołów parafialnych. Mamy ich na terenie naszej Administracji Apostolskiej jeszcze około 40. Przychodzą do nas i kapłani i wierni tych parafii, błagając o pomoc. Chcą rozpocząć z wiosną odbudowę lub wykończyć już rozpoczęte dzieło. Trudno im powiedzieć: „Nie naprzykrzaj mi się już drzwi zamknięte!” (Łuk. 11. 7). „Idź w pokój, a daj nam spokój!” Sumienie na to nie pozwala. — Musimy im pomóc, musimy koniecznie!

Wiem dobrze, że dosyć było w ostatnich miesiącach składek, zbiorów i danin na rozmaite ważne cele. Mimo to z ciężkim sercem zwracam się do Was, abyście i tym razem pomogli... drobnym groszem Wa-

szym, z którego na przestrzeni całej Administracji urosć może poważniejsza suma.

Niech to będą datki niewymuszone, iak najbardziej dobrowolne, bo tylko wówczas mają one obok wartości materialnej, wartość prawdziwą ofiary osobistej przed Bogiem. Dlatego prosilem Waszych Czcigodnych Księży Proboszczów, aby na terenie każdego kościoła urządzono w ostatnich trzech dniach Wielkiego Tygodnia oraz w pierwsze święto Wielkanocy kolekty i zbiórki na odbudowę zniszczonych kościołów, aby przeznaczono na ten cel również zebrana jałmużnę postną i kolektę przy Bożym Grobie.

Parafiom, które otrzymują z zebranej kwoty zapomogę, poleciłem, aby się tam modlono z całą gminą i ofiarę Mszy św. odprawiono za ofiarodawców w tej intencji, w jakiej oni złożyli swą mniejszą czy większą ofiarę na ten zbożny cel. W ten sposób połączymy znowu w harmonijną Bożą całość sprawy materialne z duchowymi, wieczność z doczesnością, ofiarę z nagrodą, biloniskiej jedną ręką budował zniszczoną

Tak Pan Bóg rzekł, że jesteśmy już od przeszło roku na tym naszym Śląsku

Opolskim trochę podobni do narodu Izraelskiego, który powróciwszy z niewoli babilońskiej do Państwa i miasta Jeruzalem a w drugiej trzymał miecz, odpierając nim wrogów. (II Ezdr. 4. 17 n. n.) I nam przynadło w udziale staczać dźwigi, dachowe o odrodzenie moralne naszej starej piastowskiej ziemi. walki z pozostałościami i skutkami czasów wojennych i powojennych, a jednocześnie budować to, co zniszczone — i domy Boże i przytulki i sierotnice.

Czy sprostamy zadaniom naszym? Jestem przekonany, że przy Bożej pomocy i przy szczerzej intencji i Waszej ofiarności sprostamy na pewno! *Dotąd Pan Bóg pomaga w cudowny niemal sposób* — wierzymy mocno, że i w przyszłości nadal pomagać będzie. Wszystkim, którzy złożą chociażby najskromniejszy datkę na odbudowę świątyń życzę, aby się spełniły kiedyś dla nich słowa Księgi Objawienia: „a stworzyła się świątynia Boża w niebie”. (11. 19).

Serdeczne życzenia miłych, pogodnych świąt i wszelkich łask Bożych składamy naszym wszystkim współpracownikom, ofiarodawcom i sympatykom, którzy tak ochotnie i ofiarnie służą nam zawsze radą i pomocą materialną. Wydział Parafialny Caritas przy kościele Mariackim w Katowicach.

Sodaliczka Pań w Katowicach zawiadamia, że nabożeństwo miesięczne odbędzie się dnia 12 kwietnia o godz. 9-tej w kościele garnizonowym, zebranie miesięczne dnia 14 kwietnia o godz. 17-tej na sali Domu Związków, przy kościele Najśw. M. Panny.



# GAWĘDA

## Stacha Kropiciela

Niech będzie pochwalony Jezus Chr.!

Moi kochani wielkanocni Czytelnicy! Pamiętajcie jeszcze, na czymś łoskiego roku skończył gawęda wielkanocno? Na wielkanocnym żurze. Kto nie wierzy, niech zajrzy do starych „Gości”.

Przypodałoby mi teraz dobrowolnie wymieniać, po jednym wszystkie wielkanocne delikatesy i przy każdej osobno powiedzieć coś pouczającego. Ale czyż to kuchorz jaki albo gospodyni? To tam nie som moje sprawy. Jeszczebych co złe napisał i gańba byłaby srogo.

Ale tak zaś tyż nie idzie, żeby w wielkanocnej gawędzie ani nie wspomnieć o jakiej kroszonce albo wędzonej kitce, już choćby skuli tego, że mocie takie szumne kroszonki przy gawędzie namalowane. Niektóremu sie tam można latoś dostanie ino ten wędzony sznurek od szynki obliżać albo powoniać, tóż my se choć aby w „Gościu” malowiała o tym porzondzimy. Ale nie o każdej wielkanocnej potrawie extra, ino o całym „święconym” do kupy.

U nos na Śląsku — jak miele bocza — nie było tej praktyki, żeby księżo obchodzili we Wielko Sobota po chalupach i dworach i święcili wielkanocne potrawy. U nos księżo we Wielko Sobota słuchali spowiedzi do dziesiątej albo do jedynostej we wieczór, tóż nie mieli czasu objężdżać. Ino w samo Wielkanoc po Zmartwychwstaniu, jak sie przyszło z kościoła, to ocier w każdej rodzinie kropił wodom święconom cale wielkanocne jodło, a potem z kropidłem obchodził wszystkie izby i kumory i wszędzie wykropił.

Potem, jak Polska nastala na Śląsku w dwiedwadziestym roku, to poleku wyrobił się obyczaj, że sie szło ze szoldrom — niby z tymi wielkanocnymi potrawami — do kościoła i tam księżo święcili te rzeczy wszystkim ludziom oroz. Ale w niekierzych rodzinach to sie to zaniedbowalo, a w doma tyż ojcowie tego jodła nie poświęcili i tak sie zdarzało, że ludzie jedli „święcone” niepoświęcone.

Zaś inksi, choć pamiętajom o tym i majom kroszonki i wędzonki poświęcone, to i jak nie wiadom, na co i skirz czego sie to wszystko poświęco.

Wy sie tam czasem nieroz ocierocie o księży — padajom mi nieroz ludzie — to bydziecie temu lepi rozumieć: wytuplikujcie nom, na co sie co prawie poświęco te wielkanocne jodło? A niekierzy to se i błoznom przy tym i padajom: Poco toto poświęcać, kej to i tak do żoladka idzie? A można poświęcone lepi smakuje?

Tóż na jedno pytanie moga Wom zaroz som od siebie odpowiedzieć: darów Boskich nie poświęco sie na to, żeby lepi smakowały. Na to jest sól, pieprz, krzon i roztomajle korzenie. Wodom święconom sie smaku nie polepszy.

A jednak sie to na coś poświęco! — Nato już Wom nie odpowiem od siebie, ale Wom to spróbuj wyłożyć tak, jak nom roz nasz księszoszek wyłożyli kiejsik przed wojnom, jak my mieli święcone z Meżów Katolickich. Ale nie wiem, czy to byda poradził.

Tóż noipierw poświęco sie wielkanocne pokarmy, żeby były pamiątkom i przypomnieniem haranka wielkanocnego ze Starego Testamentu, tego, co go to spożywali Izraelici przy wyjściu z Egiptu, a zaś ten baranek to jest figura i obroz Baranka Wielkanocnego Nowego Zakonu — Baranka Bożego, co za nos zostol zabity, zmartwychwstol i tak nos odkunil. Tóż jak siedzimy przy zastawionym wielkanocnym stole, momy se przypomnieć wielkanocnego „Baranka Bożego, który gładzi grzechy świata” — jak w litaniach odmo-

wiomy — i dziękować Panu Bogu za Odkupienie nasze. I bez tóż bardzo to jest pięknie i bardzo po krześcijańsku, że sie na środku wielkanocnego stolu ustowio baranka, — choćby takiego z masła abo z ciasta.

Po drugie Kościół nasz se życzy, żeby my i przy takiej uroczystej wielkanocnej uczcie nie myśleli ino o samym jedzeniu i o tym, żeby jyny ten brzuch był pelny, ale, żeby my przy tym pamiętali, że wszystko, co robimy — i jedzenie i picie — mo być na Bosko kwała — jak jest przykozane w Piśmie Świętym. Na to Kościół święci pokarmy, żeby nom przypomnieć, że nie samym chlebem żyje człowiek, że i przy jedzeniu momy nasze myśli podnieść do Pana Boga, żeby my nie byli podobni do tych, co „ich bogom jest brzuch”, jak to stoi u św. Pawła. (Sami można znocie ludzi, co wierzom ino w edzenie i picie — w swój brzuch). Człowiek nie jest gadzina, żeby patrzył sie ino najesc, i żeby go żodne wyższe, świętsze sprawy nie obchodzily. Kto i przy jedzeniu o m pamięcio, że jest człowiekiem, stworzonem na obroz i podobieństwo Boskie, a nie stworzeniem bezrozumym, to se tyż bydzie cokol pozór, żeby nie nadużywać darów Boskich do obżarstwa.

Na to Kościół poświęco jedzenie, żeby i my to spożywanie poświęcili na Bosko kwała. Tóż teraz już wiecie — myśla — na co sie święci wielkanocne pokarmy. Kto tego nie spokupil i nie pojoni, niech se to wszystko jeszcze roz przeczycio.

I jeszcze jedna sprawa przy tej przyležitoci krótko wyłoża. Starajom sie niekierzy ogromnie, co zrobić ze skorupkami od poświęconej kroszonki, bojom sie to wyciepnąć, żeby nie popelnić jakiego świętokraństwa, bo to poświęcone — i co tu począć. To pięknie, że majom taki szacunek do rzeczy poświęconych, ale za duzo sie w tej sprawie nie trzeba boć. Bo w dzicie: kroszonki, wędzonki, mięsa i kielbasy nie poświęco sie tak, jak różaniec, szkaplerz, medalik, krzyżyk — te rzeczy sie tym poświęceniem oddowo do świętego użytku, do służby Bożej. Ale pokarmy poświęco sie ino na to, żeby nom przypomnieć, że momy je spożywać na Bosko kwała, a skorupka od kroszonki wcale nie jest poświęcono. bo sie tej nie jodo (tak samo szpilki od kielbasy i sznurek od szynki).

Teroz już mocie doś tej wielkanocnej godki.

A na bezrok — jak Pon Jezus do zdrowie — to można polozprowiomu o śmiergusie i downych figlach w Wielkanocny Poniedziałek.

Ires.

### Wielkanocnym cankiem

Rezurekcję dzwony wkrag obwieszczaly, W szarej mgle dźwięk nacichal — to rosl... Wielki kościół stal się dzisiaj — za maly! Pieśń radosna plynie z wszystkich usi.

Potem ranek przedwiosenny wstal cichy, Niebo bylo błekitne, bez chmur... Rozchyliły w śpiącym sadzie kielichy fioletowe krokusy — te z gór.

W uchylone drzwi werandy oszklonej Błady promyk do pokoju wpadł. Tak przepięknie tam pachniało święconem I wspomnieniem wielu dobrych lat...

W środku stołu na rzeżuchy podścielił. Jak na straży baranek tam tkwil. Po obrusie nieskalanym, wśród bielei Kręty zygzak z widlaku się wil.

I pisanki różnobarwne się śmiały, Lukrowane baby spały wkrag... Zyczyl sobie Świąt Wesolych dom cały, Czuleś uścisk szczery bliskich rąk...

A na oknie, gamą barw roześmiany Tulipanów, hiacyntów stal rząd. Świat był piękny, świąteczny, kochany, Był... lecz dawno i — daleko stąd...

Wesołego Alleluja  
Życzy wszystkim Czytelnikom  
Stach Kropiciel